

małyś Waść na to". — „Mości Książę, wiem, że choć miałem myśli odstąpienia, od tej chwili nie odstąpię, obywatela między nami rozstrzygną”. Sapieha więc rozniewany wytoczył się na pół pijany z pokoju ojca mego i odtąd obiedwie strony swoje starania przedsięwzięły. Rozesłani z tej i z tej strony przyjaciele rozbiegli się po wioskach między drobną szlachtą, których synów mój ojciec jak dependentów przy sobie trzymał. Nietrudno było dla ojca mego znaleźć sobie przychylnych, zwłaszcza iż nie było wsi szlacheckiej w województwie lubelskim, w której by nie miał krewnych. W łukowskiej ziemi Łaski, sędzia ziemski, Jastrzębski, podsedek, i Domaszewski, sędzia grodzki, zajęli się zbieraniem szlachty. Z swojej strony Sapieha przemówił do 500 lubelskiej i łukowskiej szlachty, lecz widząc ze strony swego antagonisty liczniejszą partię udał się do Przekupstwa i w tym celu u trzech bankierów lubelskich, Heyslera, Webera i Finka, szukał pieniędzy, lecz ci, świadomi powodu, a od dawna mający z ojcem moim przyjazne stosunki, oświadczyli mu iż przed sejmikami nie dadzą, po sejmikach znajdzie otwarty kredyt. Nie zrażony tą odmową pan udał się do Warszawy, zaciągnął kilka tysięcy czerwonych zł u bankierów tamtejszych, a pewny swojej przewagi, między młodymi paniczami warszawskimi chwycił się przyszyć swoim nad szlachcicem zwycięstwem i tak ciekawość ich pobudził, że kilkunastu z nich wypieszczonego ele-gantów udało się z nim do Lublina, aby być świadkami walki. Nadszedł więc dzień sejmików. Tłumy szlachty napelniały ulice. Garnizon wyszedł z miasta, trybunał zalimitował na dwadzieścia cztery godzin sesję i tłumny sejmik rozpoczął się od mszy w kościele dominikańskim. Po jednej stronie stanął w stalach książę Sapieha z swoimi przyjaciółmi, otoczony kilku hetmańskimi rębaczami, po drugiej stronie ojciec mój otoczony przyjaznym obywatelstwem, dependentami i prawie całą przychylną sobie palestrą. W środku zasiadli urzędnicy wojewódzcy, ławki w kościele zajęła publiczność i wyfryzowani, przy szpadkach, eleganci warszawscy. Szlachta, tłumnie zapelniając ciżbą cały kościół, z przedrzeźnianiami i sztyderstwem spoglądała na nich. Gdy po mszy pierwszy z porządku urzędnik zagaił sejmik i podał

kandydatów na marszałka, zaraz się stał krzykliwy spór. Partia sapieżyńska wrzeszczała: „Nie pozwalamy na Jastrzębskiego”, podsedek łukowskiego, jako na znanego przyjaciela ojca mego. Partia ojca mego z głośniejszym, jako liczniejsza, krzykiem to samo powtarzała na jednego z Suchodolskich. Wśród tego wrzasku wpada szlachcic i na partię mego ojca woła: „Suchodolski w kaplicy przysięga na marszałka!” Na to stojący przy moim ojcu młody jego dependent, niejaki Jan Dmuchański, szlachcic, dziedzić części we wsi Izycach, zagorzały ojca mego stronnik, krzyknął: „Albo ja trup, albo Kozmian deputatem!” i rzuca się w tłum szlachty, wpada z nią do kaplicy, tam przewracają stolki, wydzierają krucyfiks, rozdzierają rotę przysięgi, wyganiają pałaszami przeciwników, obsaczają kaplicę i wrzeszcząc: „Niech pan Jastrzębski przysięga”, wracają. Próżno Sapieha stanąwszy na ławce głoś zabiera i partia jego woła: „Nie pozwalamy!” Jastrzębski wykonywa przysięgę i wzywa o podanie kandydatów. Łaski, sędzia ziemski łukowski, podaje ojca mego, książę Sapieha Kazimierza Jastrzębskiego. Ta sama scena rozpoczyna się co przy wyborze marszałka. Książę Sapieha staje na ławce, popiera głosem swojego kandydata, a gdy wrzask go zagłusza, kończy mowę tymi słowy: „A kiedy tak, ten niezgodę rozstrzygnie”, i miał nieroztropność wyciągnąć pałasz do pół pochwy. Nie dano mu dalej dobyć, przrzucono z ławki, w mgnieniu oka błysnęło tysiąc szabel, nie oparli się im rębacze hetmańscy.

Na ten gwałt i krzyk wychodzi z zakrystii przeor dominikański, książę Drohojewski, z *Sancitissimum* w rękę, woła, zaklina; rozjadły tłum jednych rąbie, drugich płażuje. Sapiehe, ukrytego pod ławką, ściga z gołym pałaszem szlachcic na pół pijany; ten ucieka i chroni się pod kapę i szaty kapłana; szlachcic zamierza się, chce go rąbnąć; przeor w jednej ręce utrzymując puszkę drugą chwytła za klingę, szlachcic, szarpnąwszy, podrzywa mu palce, krew broczy stopnie ołtarza. Nie hamuje się gmin szla-

<sup>9</sup> Jan Dmuchański, były dependent mecenasa Andrzeja Kozmiana, przewodził zagonowej szlachcie łukowskiej, ścigającej na sejmik lubelski r. 1784.

eleganci. 1798

checki, rzuca się na elegantów warszawskich, jednych tupety targa, drugich płażuje i wypędza z kościoła. Zbroczony krwią kościół w interdykcje. Sapięha przez zakrytą cichaczem uchodzi, parcia jego wyparta, zamykając kościół, wybierając jedynymślnie [Kozmiana], spisując *laudum*<sup>10</sup>, a że się lękają, aby w innym kościele nie zachciało się upokorzonemu panu zgromadzić swoją czeredę i sejmnik rozdwoić, szlachta pod swymi dowódcami przez całą noc oblega wszystkie kościoły i nie ustępuje, aż się dowiedziała, że Sapięha w nocy odjechał do Lubartowa. Elekcja ta zmartwiła ojca mego. Napisał zaraz do króla, lecz Stanisław August, będący wtenczas w niezgodzie z hetmanem Branickim, w duszy kontent był z upokorzenia Sapięhy, a światom niewinności mego ojca i razem ujrawszy dowód jego znaczenia i przewagi w województwie lubelskim, wkrótce po odbytej jego funkcji na deputata podanego sobie między kandydatami podsekciem mianował, a potem na urząd sędziego ziemskiego lubelskiego wyniósł. Sejmnik ten odbył się w r. 1784, na trzy lata przed łaską marszałka [Jan] Malachowskiego. Dajem jego obszerny obraz i dla wiadomości, jak się odbywały sejniki w Polsce, nim im inny porządek prawo 1791 przepisał<sup>11</sup>, i dla wytknięcia źródła urazy i zemsty młodego możnowładcy, która się więcej jeszcze rozżarzyła przegraną w sądzie ojca mego sprawą tego pana, którą następnie opisuję.

<sup>10</sup> *laudum* — uchwała sejmikowa.

<sup>11</sup> Prawo z 24 III 1791 przepisało sejmikom szczegółowy porządek i organizację. Do udziału w sejmikach dopuszczano ono tylko szlachtę posiadającą dobra, czyli posesjonatów.

## VI

### *Sprawa sapiężyńska w r. 1787*

Książę Kazimierz Sapięha straciwszy przewagę w Lubelskiem wywierał ją jeszcze przez jakiś czas na trybunał i ucześniezał do jego miasta. Młoda i zazdrosna żona sprzykrzyła sobie życie z nim i odjechała go do Krakowca, mieszkania ojca swego, wojewody bejskiego, i zaczęła z nim rozwodowy proces. Doprowadziwszy do skutku rozwód, wniosła drugi do sądu ziemskiego lubelskiego o powrocie sobie dóbr, których dziedzicem był jej syn, młody książę Roman, a ona z mocy zapisów dożywotniczką. Książę Sapięha, chcąc się jeszcze jakiś czas utrzymać przy dobrach, wniósł ze swej strony aktorat o różne deportata i pretensje, i o utrzymanie siebie przy posiadaniu dóbr, dopóki sumy jego wylikwidowane nie będą i następnie wprzód wypłacone. Gdyby był swego dokazał, mógłby był likwidację długów przez kondescencję<sup>2</sup>, przez rozpisz zwyciężyć, dopóki by chciał, mógłby był o najmniejszy dług i pretensję oddzielnymi procesami utrudzać i kilkanaście lat dobra *nulla jure*<sup>3</sup> posiadać z krzywdą małoletniego i matki. W tak złej sprawie nie dogadzało mu z przyoczyny sejmikowych uraz, że ta sprawa miała przechodzić pod sąd, któremu ojciec mój przewodniczył, zwłaszcza że na tak gorszą sprawę nie tylko obruszyła się cała można familia Sanguszków i z nią skrewnione domy możnych, lecz dwór i cała powszechność.

<sup>1</sup> aktorat — wnoszenie aktu, czyli sprawy, przed sąd; deportata — odszkodowanie.

<sup>2</sup> kondescencja — zjechanie sądu na grunt dóbr, co do których zachodzi spór.

<sup>3</sup> «bezprawnie».

sejmlikach, pamiętaj Waś, że ja nie Dmochowski<sup>31</sup>. Usłyszała to księżna, przybiegła, kazała sprzątnąć kielich i butelkę i rzekła: „Idź, mężu, spać, bo ty jesteś burda, jak się upijesz”. Książę zaczął się śmiać i zabawiwszy kilkanaście minut z wesołością i grzecznością wyszedł. Nazajutrz odbyły się wyborowe narady; książę, Stanisław Potocki, eks-podstoli, Dłuski, starosta łukowski, Rzewuski, pisarz w. koronny i starosta urzędowski, oznaczeni zostali na przyszłych posłów.

W kilka niedziel, na parę dni przed nadchodzącym sejmlikiem, ojciec mój, ja z nim wraz ze starszym bratem jechaliśmy w jednym pojeździe do Lublina. Wyjechawszy za Wrotków sposterzeliśmy gęste dymy tuijące się ponad rzeką na łąkach. Zbliżywszy się i przebywszy most na grobli lubelskiej uderzył nasz wzrok na łąkach po prawej stronie grobli ku Tatarom niezmierny obóz jak koczowisko hordy Tatarów, którym się zabłąkitniała cała ogromna przestrzeń. Ujrzelismy białe namioty — szatry na kijach płachtami okryte, budy z gałęzi, przed nimi gorejące płomieniem ogniska, przy których zarzynano i pieczono na roznach całe ćwierci wołów. A w środku to przy stołach, to przy zydłach, to na ziemi w kuczkach siedzące tłumy i pożerające strawę. Inni przy beczkach piwa i miodu, przy kufach gorzałki, z wrzaskiem i halasem, szklankami, garnkami, dzbankami raczący się trunkiem i wykrzykujący wiwaty. Były i koła próbujące pałaszów i ścinające się w nie. Tabor kilkuset koni pasł [siej] i wałęsał między tą zgrają, a rozstawione powózki podłaskie w liczbie kilkuset, jednokonne, hołoblami<sup>32</sup> do góry, otaczały po bokach i formowały tabor. „Co to jest?” — zawołał mój ojciec spotkawszy kilku szlachty na grobli: ci odpowiedzieli: „To partia podłaska naszego księcia<sup>32a</sup>”.

Ledwieśmy wjechali na przedmieście ku dominikanom, spotkalismy taczające się po drodze tłummy szlachty w kapotach, opończach, przy szablach; ledwie z trudnością dostać się mogliśmy przed kamienicę. Ledwieśmy wysiedli, nim się mój ojciec prze-

<sup>31</sup> *hołoble* — dyszle przy wózkach jednokonnym.

<sup>32</sup> Podobny opis koczowiska szlachty podlaskiej czytamy we wczesniejszej spisanym *Wspomnieniach* A. E. Koźmiana, t. 1, Poznań 1867, s. 28—29.

brał w inną suknię, przyszedł do niego kilku obywateli miejskich i wiejskich z wezwaniem, iż nie ma bezpieczeństwa żadnego w mieście, że głowy bez obawy porąbania wychylić nie można na ulicę, że musiano i w mieście, i na żydach pozamykać sklepy, że szlachta je odbija i rabuje, że spotkawszy słusznego obywatela Janiszewskiego z Bychawki, sądząc, że to Dmochowski, do którego miała jakąś niechęć, wzięła go przy zagrzanych trunkiem głowach za Dmochowskiego, dlatego że był rudy i niski, chociaż tamten był prosty, a ten kulawy, i zrzębała go, iż poranionego i obronionego przez brata musiano zanieść do domu: że chorążego lubelskiego, Poniatowskiego<sup>33</sup>, napastowała na ulicy i chciała mu oberwać szablę z bogatą rękocięcią, i byłoby przyszło do walki, gdyby ten starzec odważny, silny jeszcze, śmiałym stawieniem się i przybyciem kilku przyjaciół nie był odtrącił od siebie tę napastną czerebę: że meenasowi i obywatelowi osiadłemu Podhorodeńskiemu okna wybiła, a na jego wyrzuty, że nie przystoją na szlachtę gwałty i rabunki, odpowiedziała kamieniami i głowę mu zrania; prosili więc ojca mego o wstawienie się do księcia, aby ten tłum na pół dziki kazał wyprowadzić z miasta, zakazał poić i do miasta wpuszczać. W godzinę przybyli do mego ojca obożny keronny Witosławski i kilku przyjaciół księcia z powitaniem go i zaprosinami do księcia. „Miałem się zaraz udać do księcia, lecz po tym, co się dzieje (tu opowiedział im wszystkie dokonane gwałty), nie ruszę się bez *salvum conductum*<sup>34</sup> od księcia, bo nie śmiem mojej osoby narażać na niebezpieczeństwo”. Ci mu odpowiedzieli: „wie już książę niektóre wydarzenia, cierpi na nie i już rozesłano do dowódców każdej podlaskiej wioski osobno koczującej, aby rozbujających panów braci w porządku utrzymali. Niemal to kosztowało księcia i perswazji, i pieniędzy, bo każdy dowódca dopiero przyrzekł, gdy wziął kilkanaście dukatów na rękę”. Książę uprzedził ojca mego swoją wizytą, a gdy wszedł do jego pokoju z panem Stanisławem Potockim i z innymi panami, rzekł: „Sędzio kochany, nie posądzaj mnie, żebym potwierdzał

<sup>33</sup> Mowa o Ignacym Poniatowskim, chorążym lubelskim od 1787 r.

<sup>34</sup> „list żelazny”.

szabli wprawdzie, lecz w kozuchu i w butach dziegiem wysmarowanych, nie mogąc znieść nieprzyjemnego odoru rzeki: „Proszę zdjąć ten kozuch w przedpokoju”, nigdy się na sejmikach pokazać nie mógł i wieś Sobieszczany mijąc musiał.

Majątek ojca mego był tak — nie wiem, jak mam powiedzieć — czy szczęśliwie, czy nieszczęśliwie położony. Otaczały go o gronie trzy szlacheckie ludne wsie: Starawieś, Tarnawka i Sobieszczany, obejmujące przeszło dwieście szlachty zagonowej i cząstkowej, między którą znajdowało się wielu naszych krewnych z ojca i przodków jego. Skoro zbliżały się sejmiki, już się dom nie zamknął od nawiedziny; nie dość, trzeba było przyjmować, karcić, poić przewijających się koleją gości, potrzeba było obmyśleć na drodze do Lublina dla podróżujących po karczmach wygody na popasy i noclegi, opatrzyć je słomą, sianem, obrokami, posługą. Tymi stacjami były powszechnie: Gałęzów, Prawiedniki, Bystrzyca; i piotrowickie folwarki i karczmny, choć na ubocznej drodze leżące, przyjmowały tych gości podróżujących na sejmik i posejmiku. Wprawdzie we wsiach ojca mego nie brakowało na kucharachz i kucharkach wiejskich, z dawnych kuchtów ożenionych, osiadłych na wsi, robiących pańszczyznę lub służących dworsko zagajowych, strzelców lub lokaj. Ci musieli sobie przypomnieć dawną swoją sztukę i w tych najętych oberzach kuchmistrzować, a leśniczowie, ekonomowie, pisarze i domownicy krewni lub szabelni szermierze, których obywatel przy sobie żywił i odziewał, marszałkowali lub gospodarzyli. W Lublinie już musiały być zamówione i urządzone stancje i umieszczenia i opatrzone w trunki, żywność i postania. Jeżeli partia była bardzo liczna, mieściła się w części na Piaskach, na Wieniawce. Ponieważ zwykle sejmiki odbywały się w lecie lub w wczesnej jesieni, najmowano od ojca mego powszechnie dom za kościołem jezuitickim pod górą, pusty, niemieszkalny, nietynkowany, bez okien i drzwi, lecz pod dachem, Duchena zwany, naprzeciw którego był dom zamieszkały, gdzie można było kuchnię założyć. Dom pusty był przeznaczony na nocleg dla braci szlachty, dla której nawieziono tam słomy i siano na postanie. Niektórzy mieszcili się po klasztorach, po stajniach i zabudowaniach zakonnych. Jedli na korytarzach zakon-

nych lub na takichże korytarzach w kamienicy jezuitckiej ojca mego, gdzie ośmdziesiąt osób za stołem pomieścić można było, a biesiadnicy mieniali się koleją, o co nieraz do bitwy i scen przychodziło. Stoły pokrywano prostymi obrusami, talerzami cynowymi, których pod dostatkiem było w domu. Sztuce kładziono w drewno oprawne proste, łyżki cynowe, lecz gdy te szlachta łamała lub brała, zastąpiono je blaszanymi. Przecież trudno było dostarczyć tych porządków stołowych. Co dzień nikły ze stołu nie tylko noże, łyżki, widelce, lecz obrusy. Musiano płótnem obijając stoły i gwoździami przymocowywać. Patrzałem na to, jak podczas obiady wszedł nieznamomy mi szlachcic w szarej, z kapturem na plecach opończy i zaczął się cisnąć do obiadłego już stołu mówiąc: „Panowie bracia, wy jecie, a ja głodny, od wczoraj nie jadłem”. — „Czemuz Waś nie pospieszysz, nie naprzykrzaj się”, lecz gdy szlachcic ciągle się pchał między obiadujących i wyrzywał drugim widelce, zawsze powtarzając: „Ja nie nie jadłem”, wypchnięto go od stołu. Wtem hajduk niesie na stół ogromną i głęboką misę gorących i kurzących się flaków. Szlachcic wypchnięty porrywa za nią i wołając: „Ja nie nie jadłem”, łyka flaki i parzy się. Współbiesiadnicy zrywają się od stołu, jeden mu wydziera misę, drugi rozdziera kaptur z opończy, drudzy wołają: „Nasyć się Waś, kiedyś nie nie jadt”, i całą misę gorącej strawy wlewają mu w kaptur; szlachcic parzony w plecy flakami wrzeszczy i skacze, zrywają się drudzy z widelcami chcąc jeść flaki z kaptura, kolą nieboraka i kaleczą, wrzask, hałas, aż na koniec obrywają kaptur z flakami, wysypują na misę i jedzą. Podobny wypadek widziałem i na innym sejmiku z półmiskiem pierogów; porwał go głodny szlachcic, uciekał z nim, inni gonili, wpadli do mojej stancji, szlachcic broniąc półmiska wysypał tłuste pierogi w komin pełny popiołu, drudzy go odepchnąwszy wybierali strawę z popiołu i jedli<sup>41</sup>.

Na innym sejmiku, na którym na drugim dniu dawano szlachcie kolacje, która się przeciągnęła do świece, przyszło do głowy kucharzowi ojca mego uraczyć gości kompotem z czarnych wiśni.

<sup>41</sup> Por. A. E. K o z m i a n, *Wspomnienia*, t. I, s. 30 n.